

SZLI BEZ POŚPIECHU

Artykuł Ewy Owsiany zamieszczony w Gazecie Południowej z dnia 3 listopada 1975 roku

Gdy zajechaliśmy do Kobielnika, córeczka sołtysa Marcina Twardosza wróciła z tornistrem, złożyła książki w liliowym pokoju, tam gdzie przed chwilą piekło się w prodiżu wonne ciasto i porwała na ręce bratanka kwilącego w misternie rzeźbionej kolebusi.

A my przyległym pokoju szmaragdowym, rozmawialiśmy z sołtysem o starych ludziach Kobielnika. Ziemia długowiecznych! Jaką macie na życie receptę? Przyglądają się nam z ciekawością oczy wnuków sołtysowych, Murzynowych prawnusiów i dzieci sąsiadów. Tyle tego drobiazgu. Tak, tak, krąg się zamyka, następców nie brak, jedni wschodzą, gdy innym już z górki.

Marcin Tolarz siedzi na kapocie rzuconej w bujną trawę. Chatę postawił z dala za wsią, ale za to jest za pan brat z potokami, które tędy gnają do rzeczki ukrytej w dolinie za białą szosą. Podobno niedzielami pstro tam od kolorowych fiacików, ale dla mnie łąka wezbrała dziś falą koniczyn, firletek i jaskrów. Gdzie Marcin nie był - czego nie widział! Za chłopięcych lat pracował w francuskich kopalniach, Zakopane i Poronin i niemieckie roboty, a potem, gdy los się odmienił – tropienie SS-owców w bawarskich lasach. Był cieślą i górnikiem, kelnerem i wojakiem. W każdej sytuacji umiał znaleźć swoje miejsce na ziemi.

Siedzi przede mną w kapeluszu na bakier, z tą swoją charakterystyczną brązową twarzą okoloną srebrnym zarostem. Wypisz wymaluj kowboj z westernu. Nawet opowieści Marcina są jak kolorowy film, w którym sport i waleczność, białe pola Francji i czarne krzyże katedr, łapanki i SS-owcy w bunkrach spletają się w pełną plastyki opowieść. Jakże lotna wyobraźnia, choć dłonie wypracowane niby podeszwy od butów. O tym człowieku mówią we wsi: Marcin kawałka chleba za darmo nie zjadł.

A oto wycinek z „Gromady”, a w nim list Józefa Burkata teścia sołtysowego. „Może nie piszę ciekawie jak inni, ale w tym wieku trudno już pisać. Wyjaśniam, że minęło mi już 99 lat. Na tak późną jesień życia zostałem sam, bo żona w wieku 81 lat odeszła mnie pod koniec zeszłego roku. Zostałem przy córce, która dba o mnie, ale za dużo nie może. Bo jej się też nie przelewa. Warto jeszcze nadmienić, że los dla mnie był twardy. Całą I wojnę przebyłem na polach bitewnych jako żołnierz austriacki. W II - straciłem cały majątek - ledwo sam uszedłem z życiem. Po pacyfikacji w miejsce zagrody pozostały perzyny. Mimo licznych tragedii wychowałem dziewięcioro dzieci. Ich życie jest łatwiejsze i cieszę się z tego”.

Z okien otwartych w kierunku Szczyrzyca dymi po deszczu góra Ciecień, ciemna od jodeł i świerków. Z przeciwnej strony kłania się Kobielnikom góra Łysina, która „tak całkiem znowu bezleśna nie jest, ale tak w papierach stoi”. Jej szczyt zwą też Lubomirem na pamiątkę Lubomirskich, którzy oddali część swoich dóbr pod obserwatorium astronomiczne. Zupełnie nisko, u wjazdu do Wiśniowej, kuli się przy szosie stara karczma, dygocąca przed widmem rozbiórki. Czyżby kobielniczanom nie żal było staromodnie rzeźbionego dachu? Rozumiem, że wolą pochwalić się nową szkołą, elektrycznością w każdej chałupie i wodociągiem przeprowadzonym już w połowie wsi, ale o starym też nie wadzi pamiętać.

Idziemy osiedlem Na Potoku, gdzie gałęzie sadu opuszczają się nisko aż nad ścieżki. Pozdrawiamy Józefa Murzyna, który odkłada właśnie rąbaną kłodę drewna i kulejąc zbliża się do nas. Od trzech już lat stara się o leczenie sanatoryjne, ale bez skutku. Z czego jest tu znany? Z pracy u Staszka Marusarza na Hali Pysznej w schronisku. Palił w 14 piecach, nosił wodę i gości szukał nocami, jak poginęli we mgle. Do dziś mówi o Marusarzu kordialnie, jak o dobrym znajomym. Józefa Murzyna znają też z gry w Salomona (to się, pani, ziarnkiem pszenicy rzuca w tarczę z numerami) i z tłumaczenia snów. Ma w swoim skarbcu blisko dziewięćdziesięcioletni sennik, do którego lubi zaglądać, kiedy mu klienci coś nieprzeciętnego przyniosą do rozgryzienia. No i ponoć się Józkowe tłumaczenia sprawdzają. Wojnę wywróżył i niejednej pannie chłopaka. Niedzielami bywa, że i po dziesięć czeka u niego w kolejce ze snami, a on cierpliwie tłumaczy z łaski na uciechę.

Józef Murzyn wsławił się w swej rodzinnej wsi także i śpiewem. Ma głos czysty i donośny, ale daje się długo prosić zanim zaśpiewa.

*„Na Podolu biały kamień
Na Podolu biały kamień
Podolanka, ładna panna
Siadywuje na nim
Przyszędł do niej Podolaniec
Podolanko daj mi wieniec
A ja wianka nie dam tobie
Bom oddała krakowskiemu...”*

Słuchaczy ogarnia nastrój tego improwizowanego artystycznego południa. Zebrani proszą Józefa, aby śpiewał jeszcze, ale na mnie czas. Trzeba odwiedzić Stanisława Murzyna, który w tym roku ukończył 100 lat.

Sędziwy jubilat drzemie pod kraciastą pierzyną. Jego bliscy opowiadają: Do tej chaty z jodłowego drzewa przyzenił się dziadek 75 lat temu. Tu chowało się ośmioro jego dzieci. Najstarszy Józef i Wojciech dziś już nie żyjący, Katarzyna, która całe swe życie spędziła przy ojcu i dziś się nim opiekuje. Wiktoria „żeniata” w Wiśniowej. Hanka, która mając 16 lat „zerwała się na śmierć” przy sieczkarni, Jan gospodarz w nowej chacie, Maria, ta co została na zachodzie dokąd ją Niemcy wywieźli na roboty i Karolina – gospodyni z Zasadnia. Ich matka - powiadają - pomarli młodo, mieli tylko 64 lata.

Kiedy dwaj pierwsi synowie byli na świecie i Stanisław Zrozumiał, że nie ma co im dać jeść, zdecydował, że czas popłynąć w świat za chlebem. Odwoziło się takich „stracęńców” furka do Wieliczki. A potem jechali, jak kto mógł. Kto by pamiętał do jakiego portu. Na końcu podróży czekało wielkie Chicago. Z wędrówek ocalała pamięć burzy morskiej. Miotła statkiem i poniewierała ludźmi, a najbardziej tymi co byli „miętkiego sumienia”.

Pierwsza wojna. Nasz dzisiejszy jubilat w „forszpanach” i „infanteryi”. Nie był miętkiego sumienia, o nie. Włoski front, poniewierka wojenna, w końcu operacja we Wiedniu. Ponoć tamtejszy lekarz przewidział pacjentowi długie życie.

A potem przez resztę lat jednostajny los pastucha. Trwał tak długo, że nawet wśród najbliższych wygasła pamięć młodzińcych przygód patriarchy. Wyblakły jakby ich nie było, jakby nic nie znaczyły w życiorysie przywalone grubą, nieprzejrzystą warstwą lat spędzonych przy bydle.

„A jak lało to se dziadek kładł na głowę wdepnięty do wnętrza worek i z taka obdasznią stał i stał w ulewie, a trzeba pani wiedzieć, że nigdy ze sobą stołka nie zabierał. Zawsze zdrow, zawsze krzepki, boso po śniegu koło chałupy brodzący, myjący się w zimnej wodzie na mrozie. Nigdy żadnych katarów ani grypów. Całe swe czasy przechodził, przegwizdał, przetańcował.”

Sołtys przenosi wzrok ze starca na Katarzynę, córkę stulatka. - On spędził życie letko – powiada - on tam nie filozofował, dni mu biegły bez większych trosk, bo kto inny te troski nosił.

Katarzyna wzdycha. Oj, źle być najstarszą dziewczuchą w rodzeństwie. Bieda zaczęła się, gdy matka zmarła, a potem i męża zabrakło. A tu w domu piszczą sieroty własne i ojcowe. Natrafiła się ona i namordowała ze wszystkich. Teraz byłby już czas spakować się na długą drogę. Nie trza się bać. Bo co się człecze śmierci uboisz?

Ale - Katarzyna uśmiecha się ku górze, a jej ręce, bardzo spracowane, splatają się mimowolnie: Ale nikomu tam nie spieszo. Nikt tam nie chce zawczas hulac koło ściany, a na środek – powiada z pokorą nie ma się z czym pchać.